NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 8 Katowice, 28-go lutego 1932

Ewangelja.

Na trzecią niedzielę Postu.

zapisana u św. Łukasza, rozdz. 11, w. 14—28.

W on czas: Wypędzał Jezus czarta, a on był niemy. A gdy szatana wypędził, niemy przemówił; rzesze zaś zdumiewały się. Niektórzy jednak z nich rzekli: Mocą Beelzebuba, księcia czartowskiego, wypędza szatanów! Inni zaś, by Go podchwycić, żądali od Niego znaku z nieba. Ale On, znając ich myśli, rzekł do nich: Każde królestwo, szarpane w sobie niezgodą, pustoszeje, a dom na dom się zwali. Jeśli przeto i szatan jest z sobą w niezgodzie, jakże się ostoi królestwo jego? Twierdzicie bowiem, iż mocą Beelzebubą wypędzam czarty! A jeśli Ja mocą Beelzebuba wypędzam czarty, — to czyjąż mocą synowie wasi wypędzają? Dlatego to oni będą sędziami waszymi. Ale jeśli palcem Bożym czarty wypędzam, zaiste przyszło już do was królestwo Boże. Gdy mocarz uzbrojony strzeże swego dworu, majętność jest bezpieczna; ale jeśli mocniejszy nadeń się zjawi i pokona go, to zabierze całą broń jego, w której pokładał swą nadzieję, a łupy jego rozda. Kto nie jest ze Mną, przeciwko mnie jest; a kto nie zbiera ze Mną — rozprasza.

Gdy duch nieczysty wyjdzie z człowieka, błąka sie po miejscach bezwodnych, szukając odpoczynku; a nie znajdując, mówi: Powrócę do domu swego, skąd wyszedłem. Wróciwszy zaś, znajduje go umiecionym i ozdobionym. Wtedy odchodzi i przyprowadza z sobą siedmiu innych duchów, gorszych od siebie, i wchodzą tam na mieszkanie. I staje się ostateczna dola owego człowieka gorszą od poprzedniej.

A podczas gdy tych słów domawiał, pewna niewiasta z ludu podniosła głos, mówiąc do Niego: Błogosławione łono, które Cię nosiło i piersi, któreś ssał! On zaś rzekł: Istotnie! — ale i ci też są błogosławieni, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą go.

NAUKA.

Nic tak przekonywująco nie mówi o boskości Pana Jezusa, jak cud wypędzenia czarta z człowieka opętanego. Niweczy tutaj Zbawiciel ostatni wybieg, którymby niedowiarstwo mogło sobie jeszcze tłumaczyć cuda Pana Jezusa, mianowicie przypisywanie tychże cudów działaniu złego ducha. Wobec cudu opisanego w dzisiejszej ewangelji nic innego nie pozostaje, jak uwierzyć w Chrystusa, uznać Go mesjaszem i Zbawicielem.

Silniejszym okazuje się Zbawiciel od szatana. Jakżeż szczęśliwi jesteśmy, że rozbrat wzięliśmy na zawsze z księciem ciemności za łaskę Chrztu świętego, że ujarzmionego przez Zbawiciela wyrzekliśmy się „ducha złego i wszelkiej pychy i wszystkich spraw jego". Obyśmy o przyrzeczeniach, składanych przy Sakramencie Chrztu św. zawsze pamiętali i całe życie wiernie ich dochowywali.

Bądźmy zatem Bogu wierni bez żadnej połowiczności, albowiem „kto nie jest z Chrystusem, ten jest przeciw niemu". Iluż jest dziś wyznawców Chrystusa połowicznych, niezdecydowanych, nieszczerych! Chcieliby tacy służyć Bogu, ale tylko w obrębie czterech ścian świątyni. Z życia publicznego codziennego wykluczyćby pragneli zasady religji. Dla nich Chrystus i Jego zakon istnieją tylko w niedzielę, na pokaz! W dzień powszedni, przy pracy, we warsztacie, w biurze, w stosunkach z bliźnim sądzą, że można a nawet trzeba stosować zasady wręcz pogańskie. Rozdźwięk panujący między wyznawanym zewnętrznie katolicyzmem a życiem samem, to straszna bolączka dnia dzisiejszego, to przyczyna istotna złowieszczych wstrząsów, którym podlega świat dzisiejszy, to powód najgłębszy kryzysów, wobec których dzisiejsze tak postępowe społeczeństwo znajduje się często bezradnem.

„Kto nie gromadzi z Chrystusem, rozprasza". — Skupiajmy się pod sztandarem Chrystusowym i bądźmy katolikami całą duszą! Amen.

Woda cudowna.

— O! Boże mój! Boże! cóż ja teraz pocznę nieboga? chyba mi przyjdzie porzucić chałupę i wioskę, i iść gdzie oczy poniosą! Tak zawołała młoda Magda, żona rataja z Brzostówki, a jej twarz w tej chwili zalana łzami i sińcami pokryta, smutny przedstawiała widok.

— Niech będzie pochwalony, przerwał jej w tej chwili miły głos sędziwej niewiasty, która przechodząc drogą, zatrzymała się przed chałupą rataja. Była to Marta Ciepielowa, wdowa po włódarzu z sąsiedniej wioski, szanowaną od wszystkich dla swego rozumu; niektórzy z ciemniejszych wieśniaków mieli ją nawet za czarownicę, gdyż nie mając dziatek ani czeladzi, żyła sobie sama jedna w ustronnej chatce pod lasem, którą jej pan, pamiętny na wierną i uczciwą służbę nieboszczyka męża, był podarował. W tej to swojej samotnej siedzibie miała ona, jak sobie opowiadano w tajemnicy, różne dziwy przechowywać, ale ponieważ widywano ją co niedzielę z wielką skruchą modlącą się w wiejskim kościółku i nieraz już przekonano się, że w każdym złym razie chętnie śpieszyła z pomocą dru-

gim, więc też nikt nie ośmielił się zarzucić jej krzywdy bliźniego; na jej tajemniczy choć prosty sposób życia kiwano tylko głową i wszyscy lubili poczciwą starowinę.

— Cóż wam to Magdo? — zapytała ona, nie odebrawszy odpowiedzi na swe stare chrześcijańskie powitanie.

Ratajka podniosła głowę, lecz jeszcze mocniej płakać zaczęła.

— No! uspokójcież się przecie, przekłada stara łagodnie, jakież to nieszczęście Bóg na was dopuścił? czy wam dziecko zaniemogło? czy mąż zachorował? czy bydlątko zginęło albo padło od zarazy? toć nad niczem nie godzi się rozpaczać, na wszystkoć przecie krzyż pański i zdrowa rada pomoże.

— Tak na wszystko, — odrzekła, szlochając Magda, każda stratą się nagrodzi, kto zachorował może wyzdrowieć, padnie chudoba toć się na inną znaleźć musi; ale komu się jak mnie dostanie mąż zawadjaka, ten już zgubiony na całe życie.

— Aha! o to wam idzie, — przerwała Marta, — aleć powiedźcie mi przecie, skąd w nim taka złość i chęć do bicia; znam przecie waszego Bartka od małego chłopięcia, pracowity jest i trzeźwy.

— Tak, ale nagły i niepohamowany w złości, a o lada krzyneczkę do kija się porywa, zawołała Magda, wskazując na ślady świeżo odebranych razów.

— Ha! tak być nie powinno, to grzech, ciężka obraza Boska i wstyd przed ludźmi; dwóch lat jeszcze nie ma, jakieście sobie przysięgali miłość do grobu, i częstoż to się przytrafia taka poniewierka?

— Codzień prawie, odrzekła z płaczem ratajka, o najmniejszy nieład w chałupie, o najmniejsze złe słówko, i gdyby nie ta biedna dziecina, co i tak niedługo pożyje przy mojem zmartwieniu, jużbym dawno porzuciła poganina i poszła gdzie w służbę do ludzi.

— Nie róbcie tegoż Magdaleno! rzekła z powagą Marta, toć nie żaden żart przysięgaliście mężowi, ale przyjdźcie jutro do mnie przed wschodem słońca, a dam wam lekarstwo na waszą biedę.

Ratajka weselszem nieco okiem spojrzała na łagodną twarz staruszki, ta zaś szepnąwszy jej parę słów pociechy, uścisnęła ją po macierzyńsku i poszła w dalszą drogę. Nazajutrz Magda wstawszy przed świtem, oporządziła swoje gospodarstwo i zostawiwszy dziecię na opiece starej komornicy, przed wschodem słońca zapukała już do chałupy poczciwej Marty. Staruszka dawno już nie spała, otworzyła natychmiast i poprosiła Magdę do izby, potem wyjęła ze skrzyni zieloną prostą butelkę, napełniła ją świeżą wodą i mrucząc jakieś niezrozumiałe słowa, wsypała w nią siedem okruszyn soli. skończywszy tę tajemniczą czynność, podała butelkę ratajce i rzekła do niej z filuternym uśmiechem:

— Oto macie, moja Magdo, cudowną wodę, która was niezawodnie obroni od gniewu męża, byleście za każdą okazją do zwady przeżegnawszy się z pokorą, nabrali jej pełne usta i cicho usiedli gdzie w kątku, a teraz bywajcie mi zdrowi, bo mi pilno w podróż do moich krewniaków, gdzie się właśnie dziś wybieram; będę tam zapewne z parę tygodni, za powrotem zobaczę, jak też wam posłuży ta cudowna woda.

Uszczęśliwiona ratajka z uniesieniem dziekowała Marcie, poczem szybkim krokiem udała się ku domowi unosząc z sobą kosztowną butelkę, względem której staruszka zaleciła jej najściślejszą tajemnicę. Oj! cudownaż to była woda, moi ludzie, cudowna, bo od chwili jak ją Magda przyniosła do domu, nie było świętszej zgody i pokoju w całej wiosce jak w chałupie Bartkowej, co do dawna słynęła na okolice ze swarów i obrazy Boskiej. Ratajowi jakoś przybyło sił do pracy i wesela w duszy, a żona jego z piosenką na ustach krzątająca się po domu lub na zag nie, wyglądała teraz tak ładnie jak niegdyś, kiedy będąc jeszcze dziewuchą, wszystkie oczy i serca ciągnęła ku sobie. Całe też szczęście swoje przypisywała ona cudownej wodzie Marty i z przerażeniem spoglądała na butelkę, w której tylko co już dna nie było widać; codzień też biegała w wolnej chwili do sąsiedniej wioski dowiadywać się, czy stara nie wróciła do domu, ale Marty jak nie widać tak nie widać było od krewnych, aż nareszcie pewnej niedzieli, kiedy już Magda wychyliwszy ostatnią kroplę, smutnie siedziała z dzieckiem na progu chaty, stanęła przed nią uśmiechnięta staruszka i zonwu głośnem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, wyrwała ją z zadumania.

— A na wieki wieków! wykrzyknęła ucieszona ratajka, witajcież mi Marto; a toć spadliście mi jak z nieba, bo już ani kropli waszej wody nie mam w butelce.

Stara uśmiechnęła się tylko, a wysłuchawszy długiego opowiadania Magdy o jej zgodnem pożyciu z mężem, zagadnęła ją w ten sposób:

— A wiecie Magdo, że teraz i bez tej wody możecie żyć zgodnie i szczęśliwie z mężem.

— A zlitujcież się matko, jabym bez niej teraz żyć nie mogła, odparła przestraszona kobiecina, chyba, że mnie nauczycie tych czarów co do niej wchodzą, dodała z pośpiechem, patrząc błagalnie w poważną twarz Marty.

— Zgoda, przemówiła staruszka, wiecie co jest najlepszem w jej użyciu?

Magda potrzęsła głową.

— Oto konieczność milczenia, odpowiedziała stara, spojrzawszy bystro w oczy ratajce.

Magda zaczerwieniła się po uszy i odrzekła nieśmiało: Żartujecie ze mnie matko.

— Nie, nie żartuję bynajmniej, ciągnęła dalej Marta, rozważ sama, wszakże mając wodę w ustach, nie mogłaś odpowiadać mężowi na jego gniewne wyrazy?

— To prawda, Marto.

— Nie słysząc więc żadnych złych słów od ciebie, chcąc nie chcąc musiał się w końcu sam uspokoić, czyń więc tak i nadal, szanuj męża swego, bądź cierpliwą i uległą, a sama sobie zgotujesz szczęście i spokój w domu na całe życie.

Magda zrozumiawszy teraz słowa poczciwej staruszki, przyrzekła uroczyście pójść za jej radą i lubo z ciężkością dotrzymała słowa.

Wiele już lat upłynęło od tego czasu, a dotąd jeszcze wdzięczna ratajka, pamiętna rady Marty, z serdecznem westchnieniem codzień mówi paciorek za jej duszę, bo już dawno poczciwa kobiecina żyć przestała i tylko wspomnienie jej rozumu i dobrego serca dotąd ją przeżyło pomiędzy mieszkańcami Brzostówki.

Głos Apostolski o świętości chrześcijańskiego małżeństwa.

Kiedy Kolegjum Kardynalskie w wigilję Bożego Narodzenia 1930 r. składało Ojcu św. życzenia świąteczne. Ojciec św. zapowiedział na końcu swego przemówienia wydanie nowej encykliki. „Będzie to — mówił — encyklika **o przedmiocie bardzo ważnym, który w najwyższym stopniu obchodzi rodzinę, państwa i całą ludzkość.**

Była to zapowiedź encykliki: **O małżeństwie chrześcijańskiem.**

Encyklika ta, podpisana przez Ojca św. w wigilię Nowego Roku, ukazała się już także w tłumaczeniu polskiem, dokonanem przez ks. biskupa Okoniewskiego, Pasterza diecezji chełmińskiej.

Rozpoczyna się ona w języku łacińskim od słów: „Casti connubii", a w polskiem tłumaczeniu od słów: „Nieskalanego małżeństwa". Bo **wykazanie i obrona świętości nieskalanego małżeństwa była pierwszą pobudką do zwrócenia się z tą Encykliką nietylko do całego Kościoła Chrystusowego, ale nawet do całej ludzkości.** Z bólem serca stwierdza bowiem Ojciec św.,

„że wielu bardzo ludzi albo nie zna zupełnie przepotężnej świętości małżeństwa chrześcijańskiego, albo bezczelnie jej przeczy, albo też na podstawie zasad fałszywej i niecnej etyki powszechnie ją zwalcza".

Drugą pobudką do ogłoszenia tej obrony godności nieskalanego małżeństwa była **troska o owieczki, poruczone straży Chrystusowego Namiestnika.** I pomiędzy nie bowiem zaczynają się wkradać dać błędy i przewrotne obyczaje i coraz więcej zagnieżdżać w ich szeregi. I oto **Najwyższy Pasterz spełnia swój obowiązek, aby poruczone Mu owieczki „odstraszyć od zatrutych pastwisk i zachować w zdrowiu".**

Odstraszyć od zatrutych pastwisk! Wielkie i pełne przestrogi słowa! Bo istotnie nie było czasów, gdzieby się rozszerzało takie **trucie dusz,** jak w czasach obecnych

---

Polowanie na człowieka.

Na pograniczu Patagonji gromada dwunastu uzbrojonych jeźdźców pędzi, co wyskoczy koń, w pościgu za zbrodniarzem, który zbiegł w bezkresne bory tamtejsze.

Przystanęli.

— Słuchajcie — zawołał dowódca — tu widziano go kilka godzin temu. Obejmiemy go jak obcęgami, jeżeli podzielimy się na dwie grupy: jedna zajdzie z lewej, druga z prawej: kto podejmie się prowadzenia polowania?

Po chwili milczenia odzywa się głos:

— Komendancie, jestem gotów i pewien, że łowy się powiodą!

Był to brunet może trzydziestoletni, zwany ogólnie Joze. Przybył on przed piętnastu laty do Ameryki Południowej. Poniewierany bowiem przez ojca, wdał się w złe towarzystwo, podpalił domostwo sąsiadów a bojąc się kary, ratował się jak tylu innych ucieczką za morze. Lecz wnet zrozumiał, że i tu pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki. Zabrał się przeto rzetelnie do pracy z tem usilnem postanowieniem, że wynagrodzi stokrotnie wyrządzoną krzywdę, gdy się dorobi i wróci do kraju.

W domu oczekiwała go już tylko matka. Ojciec, narobiwszy długów, po krwawej bijatyce w karczmie znikł i przez pięć lat nie dawał znaku życia. Gdyby nie Joze, matczysko byłoby przymierało głodem.

Lecz i Joze nie opływał zbytnio w dostatki. Miał przecież żonę i dwoje malców. To też skwapliwie skorzystał z sposobności, gdy naczelnik policji poprosił go o pomoc w ściganiu mordercy, który niewiadomo z jakich powodów zastrzelił dyrektora banku w Buenos Aires. Bank ten wyznaczył olbrzymią nagrodę za ujęcie mordercy.

— Gdybym tylko część tej sumy zyskał dla siebie, co za wspaniała przyszłość przedemną! — rozmyślał Joze na siodle, wytężając słuch i wzrok, i pędząc w kierunku, w którym z oddali szło echo dwóch wystrzałów. Jego podwładni dali koniom ostrogi i skierowali je wprost na wzgórzet, za którem padły owe strzały. Zanim się spostrzegli, już Joze był na szczycie i dawał ręką znak, aby wszyscy zsiedli z koni: czterech miało pozostać przy koniach, dwóch ostatnich mieli okrążyć dolinę z jednej strony, Joze sam z drugiej. Jeden gwizd miał oznaczać ognia! — dwa: cisza, nie ruszać się!

Jeszcze jeden rzut oka na broń i Joze ostrożnie badając teren, krok za krokiem, krzak za krzakiem, posuwał się w kierunku podejrzanego zarośla. Po półgodzinnem denerwującem oczekiwaniu słychać jedne gwizd i pojedyńczy strzał. Potem dwa gwizdy. Z błyskawiczną szybkością rzucił się Joze na mordercę i rozpoczęło się zmaganie straszliwe, na życie lub śmierć.

W tem walczący spojrzeli sobie rozwartemi oczami w twarz:

— To ojciec... To ty, mój ojcze?...

W sercu syna zawrzała walka, która musiała być rozstrzygniętą natychmiast, w oka mgnieniu. Ratować ojca czy zadosyćuczynić sprawiedliwości? Ale co powie na to matka?! ta biedna matka... Myśli te jak błyskawice przeszyły mu mózg...

Nagłym ruchem wyjął zza pasa rewolwer i garść pieniędzy. Podając je, szepnął z naciskiem:

—Weź i nie zwłócz jednej minuty! Uciekaj wpierw na lewo, potem na prawo do morza; ja pójdę w kierunku przeciwnym: masz dwadzieścia cztery godziny czasu przed sobą a potem nie dosięgnie cię żaden pościg!

— To powiedziawszy, wystrzelił dwa razy w powietrze...

Nikt nie dowiedział się nigdy, dlaczego Joze po pierwszym dniu tak gorliwego pościgu nie chciał brać dalszego udziału w polowaniu na człowieka...

Bog.

Małżeństwo.

Nie przysięgaliśmy sobie na szczęście,
ani na pierwsze młodzieńcze kochanie —
ale przysięgliśmy sobie wieczyście,
na każdą dolę, która się stanie.

Ręce nam stuła związała do pracy, —
do codziennego, wspólnego znoju —
byśmy się stali duchem jednacy,
gotowi do boju.

Dom nasz, ten mały ośrodek świata,
to naszych starań serdeczna troska, —
myśl nasza każda niech go wzbagaca
i niech go strzeże Opatrzność Boska.

Z naszego gniazda — młode orlęta —
gdy skrzydła swoje rozwiną do lotu —
niech im ich strzecha zostanie święta,
Ciszą i słońcem — wzywa do powrotu.

Dzieci wychowawcami rodziców.

Może się komu dziwnem wyda to zdanie, ale ja twierdzę stanowczo, że od chwili przyjścia na świat dzieci rozpoczynają wychowanie rodziców.

Młode małżeństwo może się oddawać i do woli się oddaje samolubstwu, dopóki dziecko nie rozpocznie w ich domu praktycznego wykładu nauki chrześcijańskiej. Przybyło — i oto tych dwoje musi już myśleć o kimś trzecim, musi się wyrzec niektórych wygódek i przyzwyczajeń, bo najważniejszą osobą w domu staje się teraz „maleństwo".

Ileż to nocy matka nie dośpi, zanim dziecinę wychowa, a więc dziecko wymaga od nas zaparcia, poświęcenia, i to jest jego pierwsza nauczka, choć jeszcze mówić nie umie.

W drodze życia oddaliliśmy się może od praw Bożych, błądzimy po manowcach wad i nałogów, pył grzechu osiadł na duszy — czyż tak się zbliżymy do tej maleńkiej niewinnej istotki, którą nam Stwórca powierzył, czyż to wszystko przekażemy dzieciom naszym?

Jeśli je prawdziwie kochamy, to ta miłość nauczy nas czuwać nad sobą, pokonywać swe wady i zbliży nas do Boga. Wystrzegać się będziemy kłamstwa, by słowem ni czynem nie uchybić prawdzie, bo prawdomówności trzeba dzieci uczyć od maleństwa. Będziemy sprawiedliwymi, aby nam własne dzieci nie zarzuciły kiedyś: postąpiliście niesłusznie. Wystrzegać się będziemy wybuchów gniewu i słów obelżywych, by nie dawać dzieciom złego przykładu.

Jakąż zachętą i pokrzepieniem staje się nam ta myśl, że, ucząc dzieci, jak postępować mają, sami się jednocześnie od nich uczymy, jak nam, rodzicom, postępować należy, i że równomiernie z wychowaniem dzieci i nasze własne wychowanie naprzód posuwać się musi.

Czegokolwiek chcemy nauczyć swe dzieci, to pierwej musimy wypróbować na sobie, a czego mają unikać nasze dzieci, tego i my sami wyrzec się musimy stanowczo. Z drugiej strony, jeśli zaniechamy jakiegoś dobrego zwyczaju, nie możemy się spodziewać, by go nasze dzieci zachowywały. Mój mały siostrzeniec pytał mnie niedawno: „Ciociu, kiedy ja przestanę mówić pacierz, bo tatuś nigdy nie mówi pacierza, a ja już jestem dość duży, to chciałbym robić tak, jak tatuś".

Dzieci naśladują natychmiast to, co widzą u starszych. Jakże więc błądzą ci, którzy w obecności dziecka czynią lub mówią to, czegoby się wystrzegali w obecności osoby dorosłej. Nie można mówić: „Ej, niema nikogo prócz dziecka" — bo dziecko, choć nań nie zwracamy uwagi, wszystko widzi, słyszy, zachowuje w pamięci i przetwarza w swem małem serduszku wszystkie nasze słowa i postępki. Zgorszyć maluczkich nietrudno, ale gorszycielom biada. Ze względu więc na dzieci swoje, jeśli nie na samych siebie, powinni rodzice czuwać nad sobą i wystrzegać się wszystkiego, coby młode duszyczki zgorszyć mogło.

Bóg, zsyłając nam dzieci, pamięta o nas i o tem, co dla nas jest najważniejsze. Przybywają one na świat jako posłańcy Jego, by nas od złego odwieść i wykształcić w nas podobieństwo Boże. I to jest jedną z najważniejszych przyczyn, dla której Bóg rodziną nas otacza. Oby to tylko ludzie zrozumieć chcieli!

Nietylko pragnie On, byśmy dzieci nasze wychowywali w bojaźni Bożej, ale jeszcze, abyśmy tak czyniąc, sami się doń nawracali, abyśmy kiedyś mogli stanąć przed Jego tronem, otoczeni naszą dziatwą i powiedzieć: „Oto jesteśmy, słudzy Twoi Panie, albowiem wychowawcami naszymi stały się dzieci, któremi nas obdarzyłeś". K.

Gdy niema Mszy św.

Parafij takich nie mało we Francji. Liczba kapłanów w stosunku do ilości parafij jest tak niedostateczna, że dużo parafij nawet w niedzielę kapłana nie widzi i obywać się musi bez Mszy św. By zaradzić choć w części tej bolączce i umożliwić parafjanom należne uszanowanie dnia świątecznego, wydał ks. biskup Gornon w ostatnich dniach polecenie, by w takich parafjach bez kałpana o dogodnej godzinie co niedzieli uderzono w dzwony jak na sumę. Wierni zgromadziwszy się odśpiewają wspólnie Kyrie. Następnie wspólne Gloria. Ktoś z parafjan stanąwszy w środku świątyni odczytuje głośno i z namaszczeniem ewangelię św. przypadającą na niedzielę. Po ewangelji czyta stosowne do te jej ewangelji objaśnienie. Następnie odczytanie 2 rozdziałów diecezjalnego katechizmu. Nabożeństwo kończy się wspólnem odśpiewaniem Creda.

Kapłani swoją drogą zobowiązani odprawiać ofiarę Mszy św. jak najczęściej. Zdarza się nieraz, że po odprawieniu dozwolonej liczby Mszy św. w innych parafjach, przybywa kapłan często jeszcze do parafji, dla której już mszy św. odprawić nie może. Wtenczas nie mogąc już ofiary św. tutaj odprawić uświetni to „świeckie" nabożeństwo wystawieniem Przen. Sakramentu. Następuje wspólne odśpiewanie Credo i parafjanie rozchodzą się do domu.

Tak oto wygląda w niejednych pobożnych parafjach Francji, do których kapłan z Mszą św. przybyć nie może.